

Ublżanie starości

Ronald Harwood, *Kwartet*, przekład Michał Roniker, reż. Robert Czechowski, scenografia i kostiumy Wojciech Stefaniak, oprac. muzyczne Damian Neogenn-Lindner. Obsada: Elżbieta Lisowska-Kopeć, Elżbieta Donimirska, Janusz Młyński, Jerzy Kaczmarowski. Lubuski Teatr im. L. Kruczkowskiego. Premiera 15 maja 2010.

Sztuka Ronalda Harwooda *Kwartet* to obok *Garderobianego* najciekawsza propozycja sceniczna tego autora. Jak łatwo można popaść w banał inscenizacyjny, wystarczy porównać dwie inscenizacje tego tekstu: poznańską, zrealizowaną w Teatrze Nowym przez Mariusza Puchalskiego i zielonogórską, reżyserowaną przez Roberta Czechowskiego. Jeśli ktoś miał okazję obejrzeć wspomniane wcześniej dwie inscenizacje, to zrozumie, na czym polega nadinterpretacja wersji zielonogórskiej.

A zatem wyjdźmy od tekstu, co w teatrze wydaje się ważne. Role bowiem od dawna są tu podzielone: autor pisze, reżyser dokonuje konkretyzacji. Harwood pozostawił nam tekst szlachetny. Zgoda, że pełen humoru, ale z pewnością nie prześmiewczy. Pisząc o przemijaniu, nie zamierzał wyśmiewać swoich bohaterów, lecz napisać tekst o nieuchronności upływającego czasu, ale też o zmieniającej się perspektywie w spojrzeniu na życie, co zauważa Wilf, mówiąc: „Reggie ma rację.

My przychodzimy i odchodzimy, a oni trwają wiecznie. A kiedy przyłączamy się do niebiańskiego chóru, nasz pokój zajmuje ktoś inny. To normalny bieg rzeczy”. Taka jest też inscenizacja Mariusza Puchalskiego.

Natomiast po wizycie w Lubuskim Teatrze i po obejrzeniu zmagania z nim Czechowskiego, zadziwiony, postanowiłem jeszcze raz przeczytać tekst Harwooda, by próbować zrozumieć myślenie reżysera.

Przed wszystkim przesada, przerysowanie charakteryzuje postaci z inscenizacji zielonogórskiej. Tymczasem reżyser, czytając tekst i zabierając się do pracy, powinien dobrze przemyśleć kwestię, którą wypowiada Reggie. Cytuję:

Dziwnym zbiegiem okoliczności ja napisałem dziś rano aforyzm. Też na temat sztuki. (*Wymuje kalendarzyk i znajduje odpowiednią stronę*) Jest. „To, co popularne, jest zawsze dobre, ale to, co dobre, nigdy nie jest popularne”. To kulturalny

manifest naszych czasów. Chyba dość zreżymie to sformułowałem, prawda?

(WILF nadal szuka czegoś po kieszeniach i nie odpowiada)

„To, co popularne, jest zawsze dobre, ale to, co dobre, nigdy nie jest popularne”. Co o tym myślisz, czy uważasz, że mam rację?

To pytanie kieruję do twórcy tej inscenizacji, ale i kreatora polityki repertuarowej LT.

Podstawowy zarzut bowiem brzmi: w końcu przecież nie wszyscy na starość jesteśmy nie-sprawni mechanicznie. Szczególnie w środowisku artystycznym, gdzie aktywność zawodowa jest często przedłużona.

Tymczasem, jak rozumiem, kluczem Czechowskiego do interpretacji scenicznej dramatu Harwooda staje się przerysowywanie fizyczne postaci.

Z tego wynika mój wielki ukłon dla Janusza Młyńskiego czy Jerzego Kaczmarowskiego za ogromną pracę nad rolami, szczególnie nad formą ekspiacji postaci, operowanie przyruchem. Ale skupienie się na owej fizyczności: ciągnięcie nóg, fizyczne objawy zdziecinnienia, mlaskanie, nadmierna tęsknota za namiastką seksu itp., zubaża różnorodną paletę zachowań w wieku dojrzałym.

Elżbieta Donimirska od kilkunastu miesięcy nie potrafi wydobyć się z powtarzalnej formy przyjętej, a właściwie narzuconej jej przez własną, prywatną fizyczność. Chodzi o charakterystyczny tembr głosu. Powoduje to nieustanną powtarzalność postaci. W *Kwartecie* znów się tapla w formie rodem z przeszłości. Co pcha niepostrzeżenie, ale konsekwentnie opowieść sceniczną w kierunku

taniej farsy, a przecież takiemu dążeniu lepiej sprostałby oryginalny tekst angielskiej farsy.

Najlepiej wypada, najmniej poddaje się uciekaniu w formę, postać Joan, grana przez Elżbietą Lisowską-Kopeć. Zatem ukłon dla aktorskiego rzemiosła, ale też pytanie – po co ten wysiłek? Gdyż to nie o tym ta sztuka. Anegdota *Kwartetu* jest bowiem banalna. „Chcę, żebyśmy zaśpiewali kwartet z *Rigoletta* 10 października, podczas galowego koncertu ku czci Verdiego” – mówi Reggie.

I oczywiście dla bohaterów przed czterdziestką nie byłoby to zadanie niezwykle, ale nasi, niestety, mają lat o wiele więcej. Dawno nie śpiewali. Tak naprawdę żyją tylko wspomnieniami dawnej świetności, dawnych wspomnień, sukcesów.

W końcu jednak znajdują pomysł na realizację projektu, by przypomnieć swoją dawną świetność. Zaśpiewają, jakbyśmy dzisiaj rzekli, z playbacku. I tak czynią. Ale podczas tych przygotowań do decyzji o występie rozliczają się z czasem przeżytych, przeżytych, ze swoimi decyzjami, uczuciami. I to – moim zdaniem – jest znakomity materiał, znakomite dialogi dla pracy reżyserskiej. Ale z pewnością nie po to, by drwić z pozornej niepamięci czy jakichś nieistotnych wad i niepełnosprawności.

Ostatnia scena w tekście Harwooda jest szlachetna i wzruszająca. W inscenizacji Czechowskiego jest jednak przygnębiająca, zła i poprzez przerysowanie nieprawdziwa. Żle jest bowiem, jeśli aktor łąsi się do widza, a reżyser mu na to pozwala. Jest jeszcze gorzej, jeśli robi to reżyser.

Andrzej Buck